OD REDAKCYI.

Osoby zalegające z prenumeratą za czas ubiegły prosimy o jak najrychlejsze wyrównanie jej. Przypominamy również, **że czas odnowić przedpłatę na bieżący kwartał** — celem uregulowania nakładu.

SPRAWA KOEDUKACYI W ŚWIETLE PSYCHOLOGII DZIECIĘCEJ.

W Berlinie od lat paru zaledwie istnieje Towarzystwo psychologii dziecięcej, którego prace rzucają niemało światła na wiele kwestyi wychowawczych, podając nie puste frazesy i ogólniki, lecz mniej lub więcej ciekawy materyał faktyczny. Na jednem z posiedzeń tego towarzystwa dnia 2 maja 1902 wystąpiła z odczytem kobieta — Hildegarda Wegscheider Ziegler, a przemawiała w sprawie, która i nasze społeczeństwo zainteresować winna, choćby ze względu na pracę dr. Mączkowskiej O szkołach mięszanych; tytuł bowiem referatu niemieckiej prelegentki brzmiał: Doświadczenia w nauce gimnazyalnej dziewcząt, jako przyczynek do sprawy koedukacyi.

P. Wegschneider-Ziegler była nauczycielką w prywatnej szkole żeńskiej, mającej program gimnazyum męskiego, i prowadziła tem klasę, złożoną z 16 uczenic, których wiek przeciętny wynosił lat 12 miesięcy 4. Jednocześnie, korzystając z pozwolenia dyrektora, bywała na lekcyach w gimnazyum męskim w Charlottenburgu, skutkiem tego miała sposobność porównywać zachowanie się dziewcząt i chłopców tego samego wieku. I oto do jakich doszła wyników:

a) Dziewczęta są mniej karne od chłopców, mniej uważne w czasie lekcyi, a nawet mniej spokojne podczas pauzy. W gimnazyum męskiem spostrzegła prelegentka rygor prawie wojskowy, do którego w żaden sposób nie umiała nagiąć swych uczenic; przypisuje to mniejszej zdolności dziewcząt do panowania nad sobą. Gdy próbowano wpłynąć na to przy pomocy kar i innych środków surowych, skutek był taki, że istotnie zacho-

wanie się na lekcyi stało się spokojniejsze, lecz zainteresowanie do nauk osłabło t. j. pozór uwagi pokrywał większą jeszcze nieuwagę.

b) Czytanie Wypisów nastręczyło prelegentce spostrzeżenie, że dziewczynki nie rozumieją tak dobrze, jak chłopcy, wielu utworów literatury niemieckiej, przedstawiających obyczaje rycerstwa średniowiecznego n. p. balad Uhlanda.

c) Postępy w gramatyce niemieckiej były doskonałe; natomiast łacina szła dość ciężko. Wiele uczennic okazywało niechęć, gdy je dłużej nad 5—6 minut zapytywano o różne formy konjugacyjne. Prelegentka zazdrości nauczycielom szkół męskich tej prędkości odpowiedzi, tej trafności, tego usuwania z umysłu niepotrzebnych skojarzeń, jakie spotykała u chłopców.

d) Płynność opowiadania była bardzo rozmaitą i zdawała się zależeć głównie od indywidualności dziewczynek. Chcąc pobudzić je do uwagi i do opowiadania swojemi słowami, a odzwyczaić od pamięciowego kucia z książki, prelegentka prowadziła wykład historyi wyłącznie ustnie, nie dając uczennicom do rąk żadnego podręcznika, i otrzymała tym sposobem bardzo dobre wyniki.

e) Bardzo ciekawe spostrzeżenie uczyniła prelegentka podczas wykładów historyi; oto uczennice jej daleko mniej się interesowały historyą wojen, niż różnemi zagadnieniami politycznemi i społecznemi. Jedna zapytywała: do jakiego stronnictwa należeliby Grakchowie, gdyby żyli w obecnych czasach? — wszystkie zaś były rade, gdy nauczycielka poświęciła parę lekcyi na wyjaśnienie formy i organizacyi rządu w Prusach.

f) Nauczyciel matematyki nie umiał nic ciekawego powiedzieć; poprzestał tylko na uwadze, że pomimo nierównego przygotowania, uczennice wiele okazały pilności i zainteresowania do jego przedmiotu.

g) Ważnym argumentem przeciw koedukacyi jest według prelegentki sprawa wychowania fizycznego. Rok szkolny, w którym czyniła swe obserwacye, był dla połowy jej uczennic chwilą przełomową — czasem dojrzałości płciowej; skutkiem tego były one zmuszone czasem lekcye opuszczać, a niekiedy, przyszedłszy do klasy, były tak podniecone lub przygnębione, że trzeba było zwalniać bieg nauki. W okresie tym zarówno brak ruchu, jak ruch nadmierny i zbyt męczący mogą być szkodliwe; nie można więc od dziewcząt wymagać tego samego, co od chłopców, we względzie gimnastyki i innych ćwiczeń fizycznych.

Na podstawie swoich obserwacyi prelegentka jest przeciwna wspólnemu nauczaniu chłopców i dziewcząt, lecz domaga się reformy szkół żeńskich.

Naturalnie, że odczyt taki musiał być bardzo sympatycznie przyjęty, gdyż pedagodzy niemieccy są wogóle bardzo przeciwni koedukacyi. Znalazł się jeden tylko głos, podający w wątpliwości niektóre twierdzenia prelegentki, a podniósł go człowiek, będący bądź cobądź powagą w tym razie, bo Ferdynand Kemsies, znany ze swych gruntownych studyów, redaktor specyalnego

dwumiesięcznika, poświęconego psychologii pedagogicznej. Według niego karność w szkołach męskich nie jest tak idealną, jak ją odmalowała pani Wegschneider-Ziegler; pod względem uwagi, dziewczęta stoją zupełnie na równi z chłopcami; konjugacye łacińskie i w szkołach męskich po 10 minutach wywołują wyraźne zmęczenie, a co się tyczy zdolności chłopców do matematyki, to zwykle na całą klasę bywa najwyżej trzech dobrych matematyków, od których inni przepisują. Wreszcie zapytywał prelegentkę: czy obserwowała, jak się przedstawia u dziewcząt zdolność samodzielnego kombinowania? na co p. p. Wegschneider-Ziegler odpowiedziała, że nie ma jeszcze dość danych pozytywnych, lecz je gromadzi dla późniejszego spożytkowania. Ponieważ głos Kamsiesa był odosobniony, więc odczyt nie pobudził uczestników zebrania do gruntowniejszej dyskusyi, na którą sam jego przedmiot zasługiwał. Wywołał jednak pewne zainteresowanie, które niezawodnie pozwoli do danej kwestyi powrócić nieraz w przyszłości.

A teraz po tem objektywnem przedstawieniu sprawy, spróbujmy rozważyć krytycznie obserwacye p. Wegschneider-Ziegler.

Moje osobiste doświadczenie nauczycielskie wskazuje, że mniejsza karność dziewcząt, a raczej mniej spokojne zachowanie się na lekcyi jest faktem: takie wykroczenia przeciw regulaminowi szkolnemu, jak rozmowa podczas lekcyi, śmiech, podpowiadanie koleżankom itp. daleko są częstsze u dziewcząt, niż u chłopców. Nie pochodzi to jednak według mnie z mniejszej zdolności dziewcząt do panowania nad sobą, lecz raczej ma źródło w różnicach wychowania domowego chłopców i dziewcząt, różnicach podtrzymywanych wbrew pedagogice, a nawet czasem wbrew logice i etyce. Chłopca wychowuje się dziś w przekonaniu, że jako chłopiec powinien być silny, odważny, że powinien najsurowszą karę przenieść bez skargi, bo to wstyd wypraszać się lub wykręcać, że jego jedynym obowiązkiem jest dobrze się uczyć; gdy bowiem ma dobrą cenzurę toleruje mu się i przebacza wszystkie wybryki, nawet takie, których nie przebaczyłoby się nigdy dziewczynce. Siostra jego tymczasem słyszy ciągle, że powinna być posłuszna, łagodna, cierpliwa, grzeczna, nie wolno jej swawolić i dokazywać, bo to tylko chłopcu ujdzie; ale słyszy również, że „pokora niebo przebije“, że gdy dziecko ładnie poprosi, może otrzymać to, co zechce, że kara może być jej darowaną, jeżeli będzie szczerze żałowała; pomimo zaś tej pobłażliwości swoboda jej nie tylko na lekcyi, lecz i w czasie wolnym jest skrępowaną przez rozmaite „nie można“ i „nie wypada“, a wykroczenia przeciw formułkom konwenansu gani się jej ostrzej, niż największe wady charakteru. Skutkiem takich warunków chłopiec bywa zwykle posłusznym uczniem na lekcyi, a nieznośnym urwisem podczas rekreacyi; godzi się on łatwo z tem, że nauczyciel jest władzą, której musi ulegać, a choć jakieś wymaganie wydaje mu się przykrem, wstydzi się tego okazać; zresztą zawsze ma nadzieję, że pewien przymus, który sobie zadaje w szkole pod okiem nauczyciela, powetuje sobie sto-

krotnie poza szkołą, gdy w towarzystwie kolegów będzie mógł użyć zupełnej swobody, a nikt starszy wtrącać się w jego postępki nie będzie. Dopiero wtedy, gdy nauczyciel władzy swej nadużyje, gdy popełni niesprawiedliwość lub wyrządzi mu krzywdę, chłopiec więcej niż dziewczyna jest zdolny do otwartego buntu, robi awanturę, stawia się ostro i naraża na najcięższą karę. Dziewczynka w warunkach normalnych jest mniej posłuszną uczennicą: zgodnie z wpajanemi od kolebki zasadami stara się przedewszystkiem zjednać sobie uczących grzecznością, uprzejmością, lekkiem pochlebstwem, a skoro osiągnie ich przychylność, próbuje wytargować sobie pewne ustępstwa od regulaminu szkolnego, który dla niej nie ma tego charakteru prawa, co dla chłopca, w ostateczności zaś zamiast opierać się jawnie, jak chłopiec, będzie skłonna uciec się raczej do różnych wybiegów, aby niemiłe wymaganie ominąć lub za istotne przekroczenie uniknąć kary, a czyni to nie z jakiejś przyrodzonej obłudy charakteru kobiecego, lecz z poczucia swej bezradności wobec wychowawców, których wzrok argusowy ściga ją na każdym kroku od otwarcia powiek rano do zamknięcia ich wieczorem; czyż to w końcu nie może osłabić siły nerwowej dziecka i uczynić je niezdolnem do panowania nad różnymi odruchami n. p. nad płaczem, śmiechem, podpowiadaniem itd. Dajmy więcej swobody dziewczętom i trochę więcej uczuć delikatniejszych chłopcom, a zobaczymy, czy różnice postępowania dzieci płci odmiennej będą tak wyraźne i głębokie.

Karność wojskowa, która może zachwycać patryotki pruskie, nie może być ideałem szkoły nowoczesnej, ani męskiej, ani mięszanej. Nauczyciel nie powinien zapatrywać się na swych uczniów, jako na żołnierzy, pozostających pod jego rozkazami, lecz jako na przyszłych ludzi, od których wymaga posłuszeństwa nie dla własnej wygody, lecz dla ich istotnego dobra; nie obawa kary, lecz przekonanie o słuszności stawianych wymagań powinno być główną pobudką do ich spełnienia, a szacunek dla nauczyciela więcej niż jego surowość oddziała na wzmocnienie karności. To więc, co p. Wegscheider-Ziegler mówi o różnicach między chłopcami a dziewczętami, nie jest żadnym argumentem przeciw koedukacyi, lecz raczej za nią; może właśnie w szkole mięszanej, gdzieby nauczyciele nie akcentowali wspomnianych wyżej różnic między chłopcami a dziewczętami, dziewczynki, poddane tym samym wymaganiom, nie mogące liczyć na żadną specyalną pobłażliwość z powodu swej płci, łatwiejby wyrobiły sobie pojęcie prawa ogólnie obowiązującego, a tem samem i poszanowanie dla regulaminu szkoły.

Ciekawe i godne uwagi są spostrzeżenia nad zachowaniem się uczennic przy czytaniu Wypisów i przy wykładzie historyi. Do ostatnich czasów wszyscy pedagodzy, układający podręczniki dla szkół średnich, mieli wyłącznie na myśli młodzież męską; do niej więc stosowali wybór i opracowanie treści. Używanie takich książek w nauczaniu dziewcząt może niekiedy wydać mniej pomyślne wyniki, jak wszelki wykład, nie przystosowany dostatecznie do

indywidualności uczących się dzieci. Zmuszając uczennice do czytania rzeczy, których nie pojmują i nie odczuwają, każąc im zachwycać się tem, co jest im obojętne, wpływamy przygnębiająco na samodzielność wielu umysłów dziewczęcych i wytwarzamy to dość pospolite zjawisko, że wiele kobiet nie ma poprostu odwagi przyznać się do własnych poglądów i upodobań dla tego tylko, że różnią się one od sądów, których się w szkole z podręczników uczyły; że uważamy sobie często za największą pochwałę, gdy kto nasz styl lub usposobienie nazwie męskiem, a przecież kobieta-człowiek nie powinna się zapierać własnej indywidualności, lecz zawsze i wszędzie być sobą. Potrzebne więc nam są podręczniki, któreby odpowiadały potrzebom umysłowym nie tylko chłopców lecz i dziewcząt.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, iżby to były książki, opracowane specyalnie dla szkół żeńskich tak, jak dziś używane były ułożone specyalnie dla chłopców, gdyż nauka jest bezpłciową i takiego podziału nie znosi, chodzi nam tylko o pewne dopełnienia, potrzebne dla dziewcząt, a w samej rzeczy równie pożądane i dla chłopców. Zwrócę tylko uwagę na dwa punkty, które nowsze badania psychologiczne nad dziećmi starszemi wydobyły na jaw. Pani Wegscheider-Ziegler mówi, że dziewczynki nudzą się opisem wojen, a żywo bardzo interesują sprawami społecznemi. Historyi wojen nigdy i nigdzie z wykładu dziejów nie można będzie usunąć, ale opisywanie drobiazgowe wszystkich bitew i potyczek przy pobieżnem traktowaniu dziejów cywilizacyi nie jest chyba pożądanem w szkole nowoczesnej; chociaż więc chłopcy więcej interesują się wojnami, niż dziewczęta, postęp metodyki nakazuje i w ich nauce szerzej uwzględniać dzieje cywilizacyi, niż to czynią podręczniki dotychczasowe.

Drugą wskazówkę dają mi dość liczne ankiety szkolne, w których uczniowie i uczennice odpowiadali na pytanie, do kogo pragnęliby być podobni, wskazując często swe ideały wśród osobistości historycznych. Otóż równie chłopcy jak dziewczęta wymieniali prawie wyłącznie nazwiska sławnych mężów; mało było dziewczynek, któreby szukały dla siebie wzoru wśród kobiet zasłużonych.

Fakt ten zgodnie wyjaśniono tem, że dzieci poprostu nie znają kobiet wybitnych nawet z nazwiska, gdyż podręczniki historyi i zbiory życiorysów, przeznaczone dla młodzieży, mówią wyłącznie o działalności mężczyzn. Naturalnym zaś wynikiem takiego układu Wypisów szkolnych jest, że dziewczęta są nieraz niekorzystnie usposobione dla płci własnej i silniej przekonane o niższości kobiet, aniżeli rozumni i nieuprzedzeni mężczyźni. Ale czyż zapełnienie tej luki tylko dla dziewcząt byłoby pożytecznem? czyż i chłopcom nie przydałaby bliższa wiadomość o położeniu kobiet w różnych epokach dziejów, o zasługach ich i działalności na różnych polach pracy, choćby dla tego, aby ci przyszli mężczyźni mieli więcej podstawy faktycznej do sprawiedliwej oceny połowy ludzkości?

Również ważnemi są uwagi, dotyczące wychowania fizycznego. Czy istotnie zdrowie uczennic nie ucierpiałoby na tem, gdyby uczyły się razem z chłopcami? Dziś wiemy tylko, że w szkołach żeńskich, po pensyach z programem, różniącym się znacznie od szkół męskich, zdrowie uczennic rzadko się bierze w rachubę. Ogólne osłabienie organizmu po szczęśliwie odbytych egzaminach należy do faktów tak powszednich, że już nas nawet nie dziwi. Jedna z ostatnich powieści dla dorastających panien, godna ze wszech miar polecenia książeczka S. Maszewskiej p. t. „Z życia dziewczyny“ rozpoczyna się obrazkiem 16-letniej uczennicy klasy VI., którą po nocy spędzonej bezsennie nad książką, znajdują rano zamdloną, leżącą bezprzytomnie na podłodze przy łóżku, — a ten jaskrawy dowód przeciążenia nie przeszkadza autorce przedstawiać przełożonej owej pensyi, jako ideału wychowawczyni. Z drugiej strony wiemy, że wszystkie badania nad zmęczeniem uczniów w szkole, prowadzone od lat przeszło dwudziestu w różnych krajach i za pomocą różnych metod, przekonywają o istnieniu przeciążenia w szkołach męskich. Sprawa fizycznego wychowania młodzieży, sprawa szkoły przyszłości, w której nabywanie wiedzy nie będzie się okupywało utratą zdrowia, należy do najbardziej palących zagadnień dzisiejszej pedagogiki, a związek jej za sprawę koedukacyi można tylko tak sformułować, jeśliby w przyszłości powstała wzorowa szkoła mieszana, nie powinna być ona niewolniczem naśladowaniem dzisiejszej szkoły męskiej, lecz zakładem wychowawczym, odpowiadającym wszystkiem wymaganiom współczesnej pedagogiki i hygieny i urządzenie takiej szkoły, a tem samem wprowadzenie systemu koedukacyi, wówczas tylko byłoby niemożliwem, gdyby liczne i sumienne badania dowiodły, że te wymagania są stanowczo różne dla chłopców i dziewcząt t. j. że rozkład zajęć, który można przyjąć jako normę dla chłopców, jest szkodliwym dla zdrowia dziewcząt. Dopóki to nie zostanie dowiedzionem, zarzuty przeciw koedukacyi z tego punktu widzenia, nie mają podstawy naukowej. A przecież pisać i mówić o nich trzeba i należy w imię idei wyższej nad wszelkie systematy szkolne — w imię dobra wzrastającego pokolenia.

Chwila obecna jest nader ważną w wychowaniu dziewcząt: zanikają dawne przesądy, broniące kobietom dostępu do wyższej wiedzy, otwierają się przed niemi podwoje uniwersytetów, gwoli przygotowania do nich powstają gimnazya żeńskie z programem szkół męskich, a równocześnie przekonywamy się, jak niedoskonałą i wadliwą jest szkoła męska, jak wielu domaga się reform i ulepszeń — czyż braki jej i w wychowaniu dziewcząt powtarzać będziemy? Obecnie robić to musimy do pewnego stopnia, bo bez świadectwa dojrzałości, dla którego otrzymania trzeba przejść kurs gimnazyum męskiego, niepodobna kobiecie wejść na drogę wyższej nauki uniwersyteckiej. Ale przyszłość powoła do życia inne programy, inne podręczniki, inne metody, więc krytyka dziś istniejących nie powinna być obojętną żadnej kobiecie,

która prawdziwie pragnie postępu w wychowaniu dziewcząt. Wobec tego sprawy pedagogiczne dziś dla nas mają szczególną żywotność i dziwić się należy, że taka kwestya, jak wspólne nauczanie dziewcząt i chłopców, poruszona u nas po raz pierwszy przez dr. Męczkowską, nie wywołała echa w kołach pedagogicznych, na jakie przedmiot zasługiwał.

Milczenie to ośmieliłam się przerwać po odczytaniu referatu p. Wegscheider-Ziegler, a czynię to w nadziei, że może przykład tej przeciwniczki koedukacyi ale sumiennej i rozumnej nauczycielki, pobudzi i u nas do zbierania podobnych obserwacyi, dających bądź cobądź materyał faktyczny dla przyszłych reformatorów wychowania. *Aniela Szycówna.*

POŁOŻENIE ROBOTNIC CHRZEŚCIJAŃSKICH WE LWOWIE.

4. Praczki i prasowaczki.

Od czasu, kiedy omawiana przez nas ankieta miała miejsce, musiało wiele zmienić się w położeniu robotnic zajętych w pralniach, bo w przeciągu 5 lat przybyła ogromna ilość pralni we Lwowie i namnożyły się „nowe sposoby czyszczenia bielizny“, wzrosła i zaostrzyła się konkurencya między przedsiębiorcami w tej gałęzi przemysłu, co odbić się musiało na płacy i warunkach pracy robotnic. W każdym razie, zapewne nie na lepsze zaszła zmiana, albowiem w innych gałęziach pracy zmiany takiej nie było, ani też nie podjęto żadnej poprawy bytu robotnic na drodze społeczno-politycznych usiłowań.

Dwie kategorye robotnic rozróżniano w przedsiębiorstwach-pralniach: praczki i prasowaczki, których płace kształtują się nadto odmiennie, gdy są stałemi robotnicami, a odmiennie, gdy są „dochodzącemi.“

Praczki są zazwyczaj niekwalifikowane i pracują, że tak powiemy, w „oficynach“ przedsiębiorstwa; prasowaczki muszą pobierać przez miesiąc do trzech i czterech naukę praktyczną w przedsiębiorstwie jakiemś i pracują na „froncie.“ Zazwyczaj bowiem pralnia wynajmuje lokal z oknami wychodzącemi na front, co ma jak zobaczymy później, swoje znaczenie wszechstronne w walce konkurencyjnej przedsiębiorstwa i publiczność wracając nieraz z kawiarń, z zabaw i balów późną nocą widzieć może te biedne istoty, przesuwające znużoną ręką żelazka po białej bieliźnie.

Dzień roboczy tych robotnic oficyalnie trwa od 7 rano do 9 wieczorem; przedłuża się jednak zazwyczaj o „godzinkę“ lub $1 \frac{1}{2}$, a z soboty na niedzielę lub w czasy karnawałowe do 11, 12, 1, 2, w nocy a nieraz nawet do 5, lub 6 zrana. Przerwa w tym długim „dniu“ roboczym trwa tylko tak długo, jak trwa zjedzenie skromnego obiadu, który robotnice spożywają w pralni prawie

stojąco. Wogóle cała praca odbywa się stojąco, co jest powodem licznych chorób ogólnych i kobiecych u praczek i prasowniczek, a para, wyziewy, przeciągi itp. niemniej też ściągają im różne niedomagania.

Płaca praczki jest nader nizką. Stała praczka uważaną bywa za „sługę" i otrzymuje płacę w wysokości płacy służących, więc 4, 5, 6 złr z wiktem i „mieszkaniem" w kuchni lub piwnicy; dochodzące dostają 50, 60 ct. dziennie bez wiktu. Rekrutują się one z młodych i starych kobiet zamężnych i niezamężnych, a poziom ich umysłowy i potrzeby kulturalne zupełnie analogiczne do tychże u sług i posługaczek naszych.

Płaca stałych prasowaczek wynosi 16, 18, 20, a u „koszularek" dochodzi do 25 i 30 złr bez wiktu i mieszkania. Prasowaczka, jak wspomniano uczyła się zawodu swego i płaciła zazwyczaj 10 złr za naukę, a nawet, jak jedna zeznawała 20 złr miesięcznie, przyczem rzadko która w przeciągu 3, 4 miesięcy doprowadza do tej perfekcyi, aby mogła zająć stanowisko „koszularki," tj., aby umiała prasować przody u koszul męskich z fałdzikami itp. Za godziny nadobowiązkowe rzadko której przedsiębiorca płaci, daje tylko kolacyę, gdy robotnice pracują przez noc całą, a czasem tylko 20 ct za noc całą. Natomiast niejeden przedsiębiorca lub przedsiębiorczyni ściąga robotnicy z płacy, gdy coś popsuła lub przepaliła, a nawet gdy skutkiem braku „duszy" w żelazku pozostawała chwil kilka bez zajęcia.

Dochodzące prasowaczki pobierają 80 ct. do 1 złr. dziennie, jak same skonstatowały i „coraz mniej" i niezawsze zajęte są przez tydzień cały.

Prasowaczki są przeważnie młode i przystojne i takich szukają przedsiębiorcy licząc na to, że one im ściągną publiczność. W tym celu żądają nawet przedsiębiorcy i przedsiębiorczynie, jak zeznały ekspertki, aby prasowaczki ładnie się ubierały i „aby się podobały". Na szczęście nie wszędzie tak jest, ale zdaje się, że przeważna ilość pralni środkami takimi stara się osiągać cel, tj. bogatą klientelę, a istnieją nawet takie, powiadają ekspertki „do których żadna porządna panna by nie poszła."

Nie dość więc niektórym przedsiębiorcom korzyści, które ciągną z ciężkiej, źle opłaconej pracy niewolnic, radziby jeszcze na korzyść swoją frymarczyć ciałem i duszą ich.

Martwy sezon w tym zawodzie przypada na wakacye, kiedy „państwo" wyjeżdżają na świeże powietrze, wtedy niejedna praczka i prasowaczka pozostaje na bruku, nie wiedząc co począć i nikt o nią nie troszczy się. Ten czas bezrobocia przedłużał jeszcze w czasach, kiedy ankieta była przeprowadzoną, brak pośrednictwa pracy, który zmuszał praczkę chodzić od pralni do pralni szukać zajęcia. Nie wiemy, czy miejskie biuro pracy ulżyło robotnicom w tej mierze tj. czy przyzwyczaili się już przedsiębiorcy i robotnice zwracać się do niego. Tak samo podnosi niepewność jutra samowola przedsiębiorców, którzy o obowiązku czternastodniowego wypowiedzenia pamiętają tylko wtedy, gdy robotnik wymawia robotę, sami

zaś napędzają wprzód robotnicę bez wypowiedzenia. Z ekspertek nie wszystkie zapisane były do kasy chorych, zdaje się, że przedsiębiorcy wogóle rzadko spełniają obowiązek ten wobec robotnic, narażając skutkiem tego robotnice na szkody i choroby. Nie wiele mogliśmy się dowiedzieć o stosunkach mieszkaniowych praczek. To co słyszeliśmy, świadczy że nie są one zbyt różowe i nie wynagradzają tym robotnicom pobytu w wilgotnych często pralniach, narażonych na przeciągi i pełnych wyziewów brudnej bielizny.

Wikt zaś, jak już wspomnieliśmy jest marny i nie jest w stanie zwrócić robotnicy sił tych, które traci w ciężkiej pracy i wysiłkach dnia.

Porządnie ubierają się tylko te prasowaczki, które mają „narzeczonych“ bo innych niestać na strój lepszy i wogóle na zaspokojenie jakichkolwiek potrzeb kulturalnych.

Na szczęście (?) potrzeby te są zbyt małe. Nie należą do stowarzyszeń a niejedna rozumiejąc przez towarzystwa bractwa wymawia się, że „nie chce zostać świętą“; nie czują potrzeby teatru i widowisk ludowych, chyba, że którą „narzeczony zaprosi,“ a i książek nie czytają, bądźto, bo nie umieją bądźteż ponieważ nie mają kiedy, ani też nie czują żadnej tego potrzeby.

Jednakie warunki, wśród których pracują robotnice te — bardziej i jawniej w porównaniu do wymienionych dotychczas zawodów kapitalistyczny charakter przedsiębiorstw, w których maszyny zaczynają coraz bardziej wypierać pracę ręczną (przedsiębiorca przeważnie sam nie pracuje) i wzrost niektórych przedsiębiorstw, skupiających większą ilość robotnic, umożliwią organizacyę zawodową praczek i prasowaczek, która wywalczy im normalny i nieprzekraczalny dzień roboczy, ludzką płacę i stosowanie przepisów ustawy przemysłowej i do tej gałęzi pracy. Razem z lepszymi warunkami pracy podniesie się poziom umysłowy i kulturalny tych robotnic.

Dr. Salomea Perlmutter.

KOBIETA AUSTRALIJSKA.

Ze wzrostem ekonomicznej niezależności wiąże Leroy-Beaulieu objaw niezmiernej donioslości społecznej, a mianowicie: Kobiety coraz później wstępują w związki małżeńskie. W r. 1783 w Nowej Galii południowej cyfra niepełna 28.17 na tysiąc — w 1891 r. zniżyła się do 23.55 na tysiąc.

Statystyka Wiktoryi przedstawia nam następujące cyfry pod tym względem.

	Niżej	Od	Od	Wyżej
od r. 1881-90	21 l.	21—25	25—30	wyż 30
	209.8	432.3	228.8	133.1
W r. 1893	174.5	397.5	264.5	163.5

Gdy kobieta sama zarabia na chleb, a pannom pozostawia się znaczna niezależność, to nie spieszą się z wyjściem zamąż. „Lecz za to spóźnione małżeństwo daje mniej potomstwa“ stwierdza dalej Leroy-Beaulieu i zaznaczając, że zjawisko to powtarza się we wszystkich krajach postępowych, podaje następującą statystykę narodzin.

•	1866-70	1870-75	1876-80	1881-85	1886-90	1891-95
Nowa Gal. połud.	40.6	38.7	37.5	37.7	36.4	33.9
Wiktorya	39	35.7	32.2	30.8	32.7	32.4
Guesland	44	41	36.7	34.5	37.7	35.3
Australia połud.	40.8	37.7	38.2	38	34.7	32.5
Nowa Zelandye	37.9	40	41.2	36.5	31.2	28.1
Razem	40.4	38.6	37.1	35.4	34.4	32.4

Zatem w ciągu 30 lat ogólna cyfra narodzin w Australiji spada z 40·4 na tysiąc, do 30·2 na tysiąc.

Szczególniej rażące pod tym względem są dane statystyczne w Nowej Zelandyi. W roku 1881 liczba urodzin była 37·90 na tysiąc i odtąd zmniejsza się regularnie, bez przerwy tak, iż w roku 1894 spadła już na 27·18% na tysiąc.

Jeżeli powodem zmniejszającego się przyrostu ludności są późne małżeństwa — to ich przyczyn szukać nie można w trudności zamążpójścia. W Australii bowiem jest znaczna przewaga żywiołu męskiego nad kobiecym. I tak np. Nowa Zelandya liczyła w 1893 r.

357.635 mężczyzn pochodzenia europej.
gdy w tym czasie kobiet było tylko 314.630
zatem o 43.005 mniej
a w roku 1883 mężczyzn 294.665
a kobiet tylko 246.612
t. j. o 48.053 mniej.

Opóźnione małżeństwa i wynikające z tego następstwa nie wywołują jak dotąd żadnej akcyi ani ze strony rządu ani społeczeństwa australijskiego. I ostrożny zawsze w sądach Leroy B. wskazując po za przyczynami ekonomicznemi, na źródło zła, tkwiące jakoby w ruchu demokratycznym „który rozpowszechnił we wszystkich warstwach społecznych idee samolubstwa i rozwichrzenia umysłów“, sam jednak zastrzega się przed zdaniem, iż należałoby

powrócić do barbarzyństwa lub do systemu despotycznego, jedynie w celu podniesienia liczby narodzin. „Cywilizacya — powiada — dała nam tyle skarbów, tyle dobra, że z pokorą możemy w zamian przenieść nieco zła. Ona sama wskazuje nam środki do zaradzenia temu. Nowe postępy hygieny i nauk przyrodniczych nauczą nas zmniejszyć śmiertelność i podtrzymywać w stopniu pożądanym równowagę pomiędzy cyfrą przychodzących na świat i odchodzących z niego“.

Reasumując wszystkie wiadomości, jakie odnośnie do emancypacyi kobiety australijskiej zaczerpnąć można z książki L. B., ujrzymy się w posiadaniu dość jasnego poglądu na materyalne warunki jej życia, — lecz pozbawieni jesteśmy zupełnie danych, pozwalających ocenić jej poziom etyczny, artystyczny i naukowy i wogóle całą sferę duchowego życia.

Operując li tylko temi danemi, jakie z danej książki wyciągnąć się dały, porównywając na ich podstawie położenie kobiety australijskiej ze znacznie niższem pod względem polityczno-ekonomiczno-prawnem stanowiskiem naszej kobiety — stajemy wobec zagadnienia dla czego tak jest, jakie są przyczyny tego społecznego faktu, że kobieta australijska weszła w nowe dla siebie formy życia prędzej, żywotniej i dojrzalej niż kobieta europejska, — pomimo że pod względem duchowej kultury nie zdaje się stać wyżej od tejże.

Zdaje się, że źródło tego zastanawiającego objawu leży w następujących czynnikach: 1) społeczeństwa australijskie nie dźwigają na sobie całego dorobku europejskiej cywilizacyi i tem samem wolne są od całej jej odwrotnej strony — silnie zakorzenionych przesądów i 2) co jest już wynikiem pierwszej przyczyny — kobieta australijska w ruchu emancypacyjnym nie miała tyle przeszkód do zwalczenia, co nasza niewiasta, więc rozwinęła się prędzej. Pessymiści w poruszanej tu kwestyi, zarzucając naszym niewiastom brak wrodzonej twórczości i osobistej inicyatywy w życiu społecznem wogóle, a politycznem przedewszystkiem, zapominają często, ile siły musi zużyć kobieta u nas, aby wyzwolić się z krępujących ją na każdym niemal kroku uprzedzeń ze strony tak najbliższych jak dalszych stosunków, ze strony społeczeństwa, rodziny, siebie samej wreszcie.

A w wysiłkach tych emancypacyjnych, które nieraz bywają walką gwałtowną i ciężką, traci zdrowie i młodość, traci najpłodniejsze lata w rozwoju indywidualnym człowieka, i jeśli w końcu dopina celu, to staje na stanowisku jako jednostka wyczerpana, znużona i zwiędła, do twórczości energicznej nie zdolna. Całe pokolenie dzisiejszych emancypantek europejskich składa się przeważnie z tych szermierek na pierwszy wystawionych ogień, więc nic dziwnego, że tyle ich pada i albo nie powstaje już wcale lub jeśli powstaje, to często kalekie i do pełni życia nie zdolne.

Ale wszelkie tradycye historyczne i wywody naukowe mające wartość li teoretyczną, jak zawsze tak i w tym razie ustępują miejsca tym najisto-

tniejszym argumentom życia ludzkiego tj. jego bieżącym aspiracyom i potrzebom — życiu samemu.

Życie powołało kobietę do dążenia z niem razem we wszystkich jego przejawach i w tem mieści się najgłębsze, najistotniejsze świadectwo, że wezwało ją nie napróżno, że wyznaczyło jej poważną i dodatnią jakąś rolę i że po za rzucającymi się w oczy warunkami ekonomicznemi, które były pierwszym impulsem, pierwszą pobudką wystąpienia kobiety w szranki walczącej o przyszłość ludzkości — muszą też być i są też warunki inne wewnętrzne, duchowe, — w całem znaczeniu tego słowa kulturalne, które ruch emancypacyjny stworzyły. Bo zaprawdę kwestya wyzwolenia nie jest wyłącznie kwestyą kobiecą, występuje ona dzisiaj z równą siłą na wszystkich polach życia. Wyzwalanie się sumiennie z pod wpływów dogmatyczno-kastowo-formalistycznych, dążenie do swobody myśli, słowa i pracy, przyspieszone tętno życia i wszechstronny jego rozwój, — wszystko to wykazuje dążenie do stworzenia nowych wartości moralnych i kulturalnych i nowego typu człowieka.

Złożoność i bogactwo życia społeczeństw starej Europy, rozpraszanie sił w tysiącznych kierunkach nieskończenie skomplikowanej psychologii współczesnego Europejczyka sprawia, że rozwój materyalnych warunków istnienia postępować nie może w tak szybkiem tempie u nas, jak w młodszych i prostszych środowiskach ludzkich na drugiej półkuli. I w tem tkwi druga przyczyna tłómacząca szybszy rozwój kwestyi społecznych wogóle a także i kwestyi kobiecej na ziemi australijskiej. Co nasza niewiasta wniesie w życie, gdy pozwolonem jej, będzie stanąć obok mężczyzny na wszystkich placówkach przewidywać trudno. Stanowiąc bądź co bądź organizacyę odrębną — wnieść musi w życie nowe pierwiastki, których rozwój i wpływ na bieg życia ludzkiego wogóle uwarunkowany już życiem samem.

W każdym razie wzmożone napięcie życia, spotęgowanie twórczości na każdem polu, a przedewszystkiem w zakresie duchowego wewnętrznego życia, uświadamia się coraz jaśniej, jako zadanie naszego czasu, a zatem i naszej niewiasty, — zadanie, które przeciwstawić można współczesnemu zbyt może zmateryalizowanemu ideałowi społeczeństw anglosaksońskich — a które streścić się daje w haśle rzuconem nam przez poetę najmłodszego pokolenia „Żyć nie szczęśliwie, ale bohatersko“. *Irena Mayzel.*

KRONIKA.

W kwestyi karmienia niemowląt. Otrzymujemy następujące pismo które zamieszczamy tem chętniej, że zupełnie się z niem solidarujemy:

Szanowna Pani! W Nr. 15 „Nowego Słowa“ dr. Bross w artykule: „o przyczynach i zapobieganiu płaczu u niemowląt“ omawia kwestyę, kiedy matka dziecka swojego własną piersią karmić nie może i powiada, że najodpowiedniejszym w takim razie jest pokarm mamki. Ma pod tym względem sz. autor zupełną słuszność. Skład mleka mamki bę-

dzie się mało różnił od mleka matki i — dla dziecka, którego matka tego naturalnego swego obowiązku nie spełniła — najodpowiedniejszem będzie pokarmem. — Ale rzecz inna czy ze względów moralnych można w ten sposób mleko matki zastępować.

Mamka, która zamiast niezdatnej do tego matki karmić będzie jej niemowlę — rzuca własne swoje dziecko, które w pierwszym rzędzie ma prawo do jej mleka, gwałci najpierwszy swój obowiązek macierzyński, postępuje wbrew naturze, która pokarm dla jej tylko przeznaczyła dziecka.

Czyni to jedynie dla zarobku. Jest biedna, siebie, dziecka wyżywić nie może, więc sprzedaje swój pokarm obcym ustom, a własne maleństwo oddaje „na garnuszek“, gdzie najczęściej czuli opiekunowie fabrykują zeń aniołka.

— O tem wiemy wszyscy. — Prawda to straszna, wynikająca z tych nierozplątanych nici stosunków społecznych, które ludzi dławią, pozbawiając ich normalnego udziału w życiu, trochę szczęścia, do którego ma prawo jednostka każda, odbierając swobodę czynu, myśli, a nawet jak w tym wypadku głusząc najbliższe, najnaturalniejsze uczucie matki dla dziecka swego.

Smutne są warunki życia, które dla siebie wytwarza ludzkość.

Czyny jednostek pociągają za sobą całe szeregi zjawisk odbijających się na losie i szczęściu gromad wielkich. Życie ich nieraz w bólu i smutku płynie, bez ich współudziału, bez jakiejkolwiek ich winy.

Często inni nieświadomie przyczyniają się do jątrzenia ich ran bolesnych. Gdyż wiele bardzo ludzi przez nieświadomość grzeszy jedynie.

Ileż to matek biorąc mamkę do swego dziecka — nie zastanawia się nad tem, że ich maleństwa — stają się przyczyną śmierci innego dziecka, które ma takież do życia, do uczuć macierzyńskich prawo, a ginąć musi marnie.

Instytucya mamek w imię sprawiedliwości, ludzkości, natury samej, winna być zniesiona. I dla tego, jeżeli matka dla jakich bardzo ważnych przyczyn karmić sama nie może, — niech nie bierze mamki, choćby to nawet ze zdrowiem było jej dziecka, bo w żadnym razie nie ma prawa, za grosz marny, niszczyć życia innego.

Mamki biorą zwykle ludzie ze sfer zamożniejszych, więc tacy co środki mają na przeprowadzenie sztucznego, racyonalnego karmienia. Pociąga ono za sobą pewne koszta, a głównie wymaga starań wielu, lecz rezultaty jego bywają zupełnie zadowalniające, dzieci rozwijają się zdrowo, normalnie, a bez niczyjej krzywdy.

— Pozwoliłam sobie tych słów parę przesłać sz. redakcyi z prośbą o umieszczenie ich w „Nowem Słowie“, gdyż raz jeszcze nacisk kładę na fakt, że ludziom często przez nieświadomość grzeszyć się zdarza, więc im oczy na zło, którego stają się przyczyną — otwierać należy.

Może ze swej strony sz. redakcya zechciałaby obszerniej poruszyć sprawę mamek w odpowiedniem opracowaniu, ona bowiem ściśle niezmiernie łączy się z całem pasmem krzywd ekonomicznych, społecznych, etycznych, które dzieją się kobiecie.

Łączę wyrazy szacunku

Czytelniczka „Nowego Słowa“.

Krakowska Czytelnia dla kobiet i stowarzyszenie pomocy naukowej dla Polek wnoszą do Rady państwa następującą petycyę, którą podpisać mają także stowarzyszenia kobiece lwowskie:

Wysoka Izbo! Niżej podpisane stowarzyszenia kobiece zwracają się do Wysokiej Izby z prośbą o wydanie ustaw, mających na celu zniesienie ograniczeń, jakie dotykają kobietę na drodze do zdobycia odpowiedniego wykształcenia, oraz reformę średniego wykształcenia w ogólności. A więc:

1) Kobieta w Austryi nie posiada dotychczas szkoły średniej, przygotowującej do studyów uniwersyteckich. Wprowadzone bowiem licea żeńskie nie mogą być za szkołę średnią uważane, gdyż nie dają do studyów uniwersyteckich ani praw, ani przygotowania. Świetny zaś rozwój gimnazyów żeńskich dowodzi, że szkoły średnie dla kobiet są już dziś konieczne. Zresztą sam fakt, że kobiety są w Austryi dopuszczone do studyów w wyższych uniwersyteckich zakładach naukowych, pociąga za sobą konieczność otwarcia dla kobiet

szkół, któreby je do tych studyów przygotować mogły. Dlatego to upraszamy o założenie dla kobiet przynajmniej dwóch rządowych gimnazyów w Galicyi.

Przy układaniu programu gimnazyów takich byłoby wszakże pożądanem wprowadzenie w ich programie reform, wymaganiami współczesnego życia dyktowanych. Tak n. p. prawie wszystkie państwa w nauczaniu języków starożytnych zaprowadziły zmiany gruntowne, już to przez całkowite usunięcie języka greckiego, już to przez ograniczenie liczby godzin obydwu języków starożytnych i przesunięcie rozpoczęcia nauczania do klas wyższych (Prusy, Rosya i t. d.). Najdalej wszakże idącą reformę zaprowadzili Anglicy i Francuzi przez stworzenie szkoły średniej całkiem nowego typu. Szkoły w Bedales, Abbotsholm w Anglii, w Roches pod Paryżem i w Esterelles w pobliżu Cannes dają typ wzorowy nowoczesnej szkoły średniej.

O ileby tedy miały być stworzone szkoły średnie dla kobiet, należałoby stworzyć wzorową nowoczesną szkołę średnią, której ukończenie wszakże dawałoby prawo do kształcenia się dalszego w wyższych zakładach naukowych, t. j. uniwersytetach, politechnikach, akademiach handlowych i t. p.

Dopóki jednak nie nastąpi otwarcie wzorowej szkoły średniej nowego typu, kwestya szkoły średniej dla kobiet dawałaby się najprościej rozwiązać: albo a) przez upaństwowienie prywatnych, gimnazyalnych szkół żeńskich w Krakowie i Lwowie, albo też b) przez dopuszczenie kobiet do istniejących gimnazyów męskich.

Co do tego ostatniego sposobu, to musimy zaznaczyć, że system ko-edukcyi znajduje w sferach pedagogicznych coraz więcej uznania. Mięszane szkoły średnie w Ameryce a także w Finlandyi, Holandyi oraz Bernie Szwajcarskiem w Europie dają jak najlepsze wyniki zarówno co do umysłowego jakoteż moralnego rozwoju wychowańców. Kobieta-koleżanka, towarzyszka wspólnej pracy przestaje być dla chłopca zagadką, nieznanym, a przez to zaciekawiającym przedmiotem pożądań. Ten wzgląd ostatni jest niesłychanie ważnym argumentem, za systemem ko-edukcyjnym przemawiającym.

Utyskiwania na przedwczesne dojrzewanie młodzieży oraz na wypaczanie obudzonego instynktu prawie zupełnie mają miejsca w szkołach, w których system ko-edukcyi zaprowadzono. Natomiast troska o moralno-obyczajową stronę młodzieży gimnazyalnej nie schodzi z porządku dziennego narad kierowników gimnazyów męskich a u nas doprowadziła nawet — jak wiemy — do projektu przywrócenia dwurazowej nauki, jako środka jakoby zapobiegawczego.

2) Stowarzyszenia kobiece, złożone w znacznej części z matek, dla których niemniejszą troską, niż zdobycie praw kształcenia dla córek, stanowi również konieczność posyłania synów swoich do szkół średnich typu obecnego, czego rezultatem jest fizyczne i umysłowe przemęczenie młodzieży, upraszają, by odnośne sfery decydujące zechciały poddać gruntownemu rozpatrzeniu i reformie plany gimnazyów męskich.

Stworzenie zarówno męskich jakoteż i żeńskich wzorowych szkół średnich dostosowanych do obecnych warunków życiowych, jest gorącą potrzebą chwili.

3) Upraszamy o rozszerzenie prawa uczęszczania na uniwersytety, również i na wydział prawny, — dotychczas dla kobiet zamknięty.

4) Upraszamy o udzielenie kobietom obcym poddanym prawa uczęszczania na uniwersytety w charakterze nadzwyczajnych słuchaczek, a nie tylko hospitantek, jak to ma miejsce obecnie. Mężczyzn obce obywatelstwo tego prawa nie pozbawia.

5) Upraszamy wreszcie o dopuszczenie kobiet do studyów w wyższych szkołach politechnicznych oraz akademiach handlowych.

Trzy ostatnie punkta nie wymagają już dziś chyba bliższego uzasadnienia. Masowe wkroczenie kobiety na pole walki ekonomicznej zmusza ją do zdobywania coraz to nowych posterunków pracy, rozdzielanie zaś zawodów na męskie i żeńskie jest dziś niewczesnem wobec licznych dowodów, złożonych przez kobiety w innych krajach, co do należytej sprawności przy wykonywaniu zawodów, przez długie wieki tylko za męskie uznawanych.

A zamykanie przed kobietą przybytków wiedzy, lub chociażby tylko niektórych jej gałę-

zi, w obec składanych przez kobietę dowodów jej umysłowego uzdolnienia, stoi w rażącej sprzeczności z kulturalnemi hasłami naszej epoki. *Podpisy.*

Indywidualizm i kobieta. W tygodniku czeskim, wychodzącym w Pradze p. t. „Rozhledy“, znajdujemy ciekawy artykulik p. Anny Sychzarowej p. t. „Žena a individualism“.

Autorka zaznacza na wstępie, że artykuł jej jest niejako odpowiedzią na zdanie, które wygłosiła p. Vikoria-Kunetická, że „kobieta powinna szukać sobie dzisiaj innej ścieżki rozwoju niż mężczyzna, który hołdując indywidualizmowi stał się egoistą zimnym i anarchistą ducha“.

P. Sychzarová zupełnie słusznie wyśmiewa się z takiego pojmowania indywidualizmu i twierdzi, że, przeciwnie, dzisiejsza kobieta powinna dążyć do najwyższej indywidualizacyi, do samodzielnego wyrobienia poglądu na świat.

Przeciętna kobieta dzisiejsza zbyt mało ma odwagi, ażeby rozwinąć swą indywidualność, „Znaleźć sobie ścieżkę, na którą ciągnie ją serce“, idzie zwykle szablonową, utartą drogą i marnieje w szarzyźnie. (Odvahy, nésmirné odvahy je treba k tomu, aby chovek dal se ceston, na kteron ho táhne jeho Srdce, po které prahne žárem své najcistši krve — a to je individualism, ta odvaha, to dobytó pravo).

Dzisiejszy ruch kobiecy, szerzące się coraz bardziej uświadamianie swego wiekowego snu, dzisiejsze wołanie o prawa do całokształtu życia, do pracy szerokiej — wszystko to dowodzi, że kobieta dąży do prawdziwej, rozumnie pojętej indywidualizacyi.

W Nrze 5 „Revue Scientifique“ pan David Starr Jordan pomieścił artykuł o wyższem wykształceniu kobiet w Ameryce. (L'enseignement supérieur des femmes aut États-Unis.) Jest to treść odczytu, jaki wygłosił autor w Związku, lub Klubie kobiet w Los-Angelos („Woman's-Clubs“).

Wogóle kobieta amerykańska ma to szczęście, że się nią ogromnie zajmują, uważając ją za przodowniczkę emancypacji, niebardzo słusznie zresztą. W „Revue Bleu“ obszernie bo aż w dwu N N pisze o życiu kobiet amerykańskich p. Jeanne Mairet. (N. 10 i 11. „La vie des femmes au États-Unis“.)

Włoska kobieta pracująca. Wiemy o Włoszkach, że są typem ładnych kobiet, spotykamy często ten typ na płótnach artystów, rzadziej w powieściach — prawie wyjątkowo jako temat poważnych studjów. A jednak kobieta włoska stoi w pierwszych szeregach kobiet z „kościoła wojującego“, kobiet nowych w najlepszym znaczeniu tego wyrazu.

Przekonywa nas o tym artykuł p. dr. R. Michels w „Neues Frauenleben“. Artykuł swój poświęca on specyalnie robotnicom włoskim, zajętym w przemyśle tytoniowym. W przemyśle tym przeważają kobiety: w r. 1850 było zatrudnionych w tym przemyśle 1947 mężczyzn, a kobiet aż 13767.

Z praktyki wiadomą jest rzeczą, że najtrudniejszym żywiołem do wszelkiej obronnej organizacyi są kobiety — robotnice. We Włoszech jednak rzecz się ma inaczej, kobiety łączą się w związki i są wzorem solidarności. We Florencyi na 1500 robotnic w przemyśle tytoniowym jest w organizacyi 1200.

Dowód ogromnej solidarności i czystego altruizmu złożyły te robotnice w r. 1902 podczas strejku robotników wielkich odlewni żelaza w Pignone. Przez cały czas trwania strejku, z własnej inicjatywy posyłały biedne robotnice walczącym towarzyszom pieniężne zapomogi ze swej kasy związkowej. Takich przykładów dzielności włoskich robotnic możnaby przytoczyć więcej.

St. Kelleskrauz.

W. C. MORROW.

WIĘZIEŃ.

DOKOŃCZENIE.

„Następnej nocy — było to w niedzielę — przyszedł dozorca z strażnikiem i zapytał, czy mi dobrze. Powiedziałem, że tak. On rzekł, Czy chcesz się sprawować należycie i iść jutro do roboty? Odpowiedziałem, „nie panie; nie pójdę do roboty, aż dostanę, co mi się należy". Wzruszył ramionami i rzekł, „Dobrze: może zmienisz zdanie za tydzień".

„Trzymali mnie tam przez cały tydzień. Następnej niedzieli wieczorem przyszedł dozorca i rzekł. „Gotóweś iść jutro do roboty"? A ja odrzekłem „Nie; nie pójdę do roboty, aż dostanę, co mi się należy". On jął mnie przezywać. Powiedziałem mu, że jest obowiązkiem człowieka, domagać się swoich praw i, że człowiek, co da z sobą postępować jak z psem, nie jest wcale człowiekiem".

Przewodniczący przerwał, „Czy nie pomyślał pan", zapytał, „że ci urzędnicy nie poniżyliby się tak dalece, żeby aż pana okradać? — że przez pomyłkę nie wydali panu tytoniu i, że w każdym razie miał pan wybór między dwiema stratami — szczyptą tytoniu i siedmiu laty więzienia"?

„Lecz oni drażnili mnie i kłuli tem przezwiskiem, panie — i wtrącili mnie w końcu do lochów niby bydlę.... Ja obstawałem przy swojem prawie, a prawa moje, to moje człowieczeństwo; a to jest rzecz, którą człowiek może unieść z sobą cało do grobu, czy wolny jest, czy niewolny, słaby czy potężny, bogaty czy biedny".

„Dobrze, co się stało, gdy pan nie chciał iść do roboty"?

Chociaż w tej chwili gwałtowne musiało w nim kipieć wzruszenie, to jednak wstał powolnie, a stanowczo. Widać było, jak odmierzał każdy ruch. Stanął prawą nogą na krześle i oparł się prawym łokciem na kolanie. I tylko nieznaczny ruch skierowanego ku przewodniczącemu wskazującego palca, którym podkreślał niektóre miejsca swego opowiadania, łagodził nieco sztywną nieruchomość całej jego postawy. W spadku i dźwięku głosu nie było najdrobniejszej nawet zmiany, mówił bez pośpiechu, powolnie i strasznie jednostajnie, jak był zaczął, a jednak — częścią właśnie dla tych oznak jego niewiarygodnej władzy nad sobą — przedstawił obraz straszny i wyraźny:

„Kiedym mu to powiedział, oświadczył, że mnie da na drabinę i, że zobaczy, czy nie zdoła mnie zmusić do zmiany postanowienia.... Tak, panie; powiedział, że da mnie na drabinę“. (Nastała tu długa przerwa). „Mnie, ludzką istotę, z ciała i krwi, i z sercem w ciele. Tamten dozorca nie usiłował mnie skruszyć na drabinie. A jednak mnie skruszył; skruszył mnie aż do dna, rozebrał aż do owej rzeczy, która jest człowiekiem we mnie; lecz uczynił to człowieczem słowem, a nie lochem i drabiną. Nie wierzyłem mu, gdy rzekł, że mnie da na drabinę. I nie mogłem wyobrazić sobie żadnej ludzkiej istoty, któraby mogłaby zdobyć się na to. Nie mogłem wyobrazić sobie własnej osoby żyjącej rozpiętej na drabinie. Gdybym mu był wierzył, byłbym go był zadusił na miejscu. I byłbym padł powalony ładunkiem ołowiu. Nie, panie; nie mogłem uwierzyć.

„A wówczas mi powiedział, żeby pójść za nim. Poszedłem z nim i z strażnikami. Zaprowadził mnie ku drabinie. Nigdym jej przedtem jeszcze nie był widział. Była to ciężka drewniana drabina, oparta o mur, spodnim końcem przyśrubowana do ziemi, górnym do muru. Na ziemi leżał bicz“. (Nastała znowu przerwa). „Dozorca kazał mi się rozebrać, a ja się rozebrałem.... I jeszcze nie mogłem uwierzyć, aby mnie miał biczować. Myślałem, że chciał mnie tylko nastraszyć.

„Potem kazał mi stanąć pod drabiną. Tak uczyniłem i podniosłem ręce aż do rzemieni. Oni zaś opasali mi ręce rzemieniami i przytwierdzili do drabiny i pociągnęli tak mocno, że mnie unieśli z ziemi. Potem przytwierdzili mi nogi rzemieniami do drabiny. Potem dozorca podniósł bicz. Rzekł do mnie, „Daję ci ostatnią sposobność: pójdziesz jutro do roboty“? Rzekłem, „Nie, nie pójdę, póki nie dostanę tego, co mi się należy“. „Dobrze więc, rzekł, dostaniesz teraz, co ci się należy“. I wówczas cofnął się o krok i podniósł bicz. Odwróciłem głowę i spojrzałem nań i mogłem widzieć z jego oczu, że istotnie chce mnie bić.... A kiedym to ujrzał, panie, poczułem, jak coś we mnie już ma pęknąć“.

Skazaniec przerwał, żeby nabrać sił dla przedstawienia przełomowego punktu swego opowiadania, lecz bynajmniej nie zmienił postawy, nie zmienił ruchu palca, twardego blasku oka, ani powolnej monotonii mowy. Nigdy nie widziałem sceny tak dramatycznej jak ta, a jednak wszystko było zupełnie proste i naturalne. Najwięksi aktorowie budzili we mnie dreszcze, gdy z niezrównanym kunsztem swobodnie dawali ulatywać geniuszowi w tragicznych sytuacyach; lecz jakżeż niewymownie hałaśliwymi i tanimi wydały mi się owe obrazy w porównaniu z tem, co miałem przed sobą! Dźwięki głośnej muzyki, światło, pozy, kłamliwe twarze, wzdychania straszliwe, wywijania rękoma i nogami, zataczania się i potykania, kołujące oczy — jakże małem i bezbarwnem, jakże śmiesznem i dziwacznem wszystko to wydało mi się obok tego prostego, nieokrzesanego, lecz bezpośredniego wyrazu bezgranicznej boleści!

Stenograf przestał pisać — ołówek zawisł mu nad papierem.

„I wówczas bicz śmignął mnie po grzbiecie. To coś we mnie skurczyło się strasznie, a potem rozwarło się szeroko i rozpłynęło się po mnie niby stopione żelazo. Ciężko było utrzymać jasność myśli, lecz utrzymałem. A potem rzekłem tak do dozorcy: „Uderzyłeś mnie pan biczem, z zimną krwią to uczyniłeś. Związałeś mi ręce i nogi, żeby mnie biczować jak psa. Dobrze więc, biczuj, aż się tem przejesz. Jesteś tchórzem. Jesteś podlejszy, nikczemniejszy i tchórzliwszy od najpodlejszego i najnikczemniejszego psa, który skowycze, gdy go pan zbije. Urodziłeś się tchórzem. Tchórze także kłamią i kradną, a ty nie lepszy jesteś od złodzieja i kłamcy. I pies nie chciałby cię za przyjaciela. Bij mnie mocno i długo, ty tchórzu. Biczuj, powiadam. Przekonaj się, jak błogo tchórzowi, gdy zwiąże człowieka i wybiczuje go jak psa. Biczuj mnie, aż mi ostatni dech z ciała wytrzęsiesz; jeżeli mnie żywym ostawisz, zabiję cię za to". Twarz mu pobladła; zapytał, czy naprawdę tak myślę, a ja mu rzekłem, „Tak; klnę się na Boga, że tak". Wówczas ujął bicz obiema dłońmi i jął smagać z całych sił".

„To stało się blizko dwa lata temu", rzekł przewodniczący. „Pan byś go teraz nie zabił, nieprawdaż"?

„Tak. Zabiję go, gdy znajdę sposobność; a czuję, że sposobność się nadarzy".

„Dobrze, proszę dalej".

„On ciągle okładał mnie biczem. Bił mnie z całych sił. Mogłem dobrze czuć, jak poszarpana skóra na grzbiecie brzegami zakręca się w górę, a gdy głowa zbytnio mi zaciężyła, iżby mógł ją utrzymać prosto, opuściłem ją i ujrzałem krew na nogach i krople ściekające mi z palców i wpadające do wielkiej kałuży, która się na ziemi utworzyła. Znowu coś we mnie szarpnęło się i skurczyło. Grzbiet nie bardzo mnie bolał; bolało mnie to coś, co się kurczyło we mnie. Liczyłem uderzenia, a kiedym doszedł do dwudziestego ósmego, skurcz stał się tak mocnym, że mnie zdusił i oślepił.... a kiedym się zbudził, byłem znowu w komórce, lekarz opatrzył mi był plecy i klęczał teraz obok mnie i badał puls".

Więzień skończył. Spojrzał dokoła błędnym wzrokiem, jakby chciał odejść.

„I od owego czasu ciągle był pan w lochach"?

„Tak, panie; lecz to mnie nie razi".

„Jak długo"?

„Dwadzieścia trzy miesiące".

„O chlebie i wodzie"?

„Tak; lecz nie trzeba mi więcej".

„Czy pomyślał pan, że jak długo nosi się pan z zamiarem zabicia dozorcy, można pana trzymać w lochach? Tam długo pan nie może żyć, a jeżeli pan tu umrze, nie znajdzie pan nigdy sposobności, na którą pan

czeka. Jeżeli pan złoży oświadczenie, że nie zabije dozorcy, można pana znowu dać do cel".

„Ale to byłoby kłamstwo, panie; sposobność zabicia go nadarzy się, gdy wrócę do cel. Wolę umrzeć w lochach niż być kłamcą i tchórzem. Jeżeli mnie pan przeniesie do cel, zabiję go. Lecz ja i tak go zabiję. Ja go zabiję, panie... I on o tem wie".

Oto w tej ruinie człowieka, tak blizko, że dotknąć się go było można, otwarcie, bez zasłon, stanowczo i nieubłaganie, stało Morderstwo, — nie chełpliwe, lecz nieubłagane jak śmierć.

„Prócz osłabienia, czy zresztą nie czuje pan żadnych dolegliwości"? zapytał przewodniczący.

„Och, jestem wcale zdrów", odrzekł zmęczonym głosem skazaniec. „Czasem ów skurcz wewnątrz wraca, lecz gdy się wyśpię, mam się zupełnie dobrze".

Z polecenia przewodniczącego, lekarz więzienny przyłożył ucho do piersi skazańca, potem podszedł do przewodniczącego i szeptem coś mu powiedział.

„Domyślałem się", rzekł przewodniczący.

„Zabierzcie go do szpitala. Umieśćcie go na słonecznem miejscu i odżywiajcie go jak najlepiej".

Skazaniec, nie bacząc na to wszystko, posuwistym krokiem wyszedł za strażnikiem i lekarzem.

Dozorca siedział w biurze więziennem sam na sam z więźniem Nr. 14208. Okoliczność, że znalazł się wreszcie sam na sam i twarzą w twarz z człowiekiem, którego postanowił zabić, wprawiła więźnia w zakłopotanie. Nie miał już kajdan na sobie; drzwi były zamknięte, a klucz leżał na stole między obu mężczyznami. Więzień wyszedł z szpitala zdrowszy, lecz śmiertelna bladość pokrywała mu twarz.

„Śledztwo przeprowadzone przez naczelników przed trzema tygodniami", rzekł dozorca, zmusiło mnie do złożenia urzędu. Czekałem jeszcze tylko na zamianowanie następcy, który objął już urzędowanie. Opuszczam więzienie dziś. Tymczasem mam panu powiedzieć coś, co pana zajmie. Przed kilku dniami człowiek, którego zeszłego roku wypuszczono z więzienia, przeczytał, co pisano niedawno w gazetach o pańskiej sprawie, i człowiek ten napisał do mnie list z zeznaniem, że to on wziął pański tytoń od kapitana straży. Nazywa się Salter i bardzo do pana podobny. On już był dostał swoją nadzwyczajną zapłatę, a kiedy przyszedł drugi raz i zażądał pańskiej, kapitan mu ją dał. Nie było więc po stronie kapitana zamiaru ograbienia pana".

Skazaniec podał naprzód głowę i dyszał ciężko.

„Aż do nadejścia tego listu", podjął dozorca, „sprzeciwiałem się wnioskowi ułaskawienia pana; lecz kiedy nadszedł ten list, przemawiałem za

ułaskawieniem, które też panu przyznano. Oprócz tego jest pan ciężko chory na serce. Więc tembardziej. Jest pan teraz wolny".

Skazaniec patrzył nieruchomo i bezmownie oparł się na poręczy krzesła. Oczy mu jaśniały dziwnym, szklistym blaskiem, a białe zęby błyszczały zwłowieszczo między rozwartemi wargami. Lecz pewna bolesna łagodność tłumiła żelazną twardość oblicza.

„Powóz ruszy na przystanek za cztery godziny", mówił dalej dozorca. „Wypowiadał pan dawniej pewne groźby — że mnie pan zabije". Dozorca zamilkł; potem głosem nieznacznie drżącym ze wzruszenia mówił dalej: „Zamiary pana w tym względzie — które zresztą nic mnie nie obchodzą — nie mogą mnie odwrócić od wykonania obowiązku, który się panu odemnie należy. Obszedłem się z panem okrutnie, i potworność tego okrucieństwa pojąłem teraz. Myślałem, że miałem słuszność. Powodem mojej fatalnej pomyłki było to, że nie poznałem się na pańskiej naturze. Od samego początku fałszywie sobie tłómaczyłem pańskie postępowanie, a czyniąc tak, obarczyłem sumienie ciężarem, który goryczą zapełni mi resztę dni życia. Gdyby nie było zapóźno, uczyniłbym, co tylko w mej mocy, żeby złagodzić krzywdę, którą panu wyrządziłem. Gdybym przed zesłaniem pana do lochów mógł był zrozumieć tę krzywdę i przewidzieć jej następstwa, z ochotą byłbym sobie raczej własne był życie odebrał, aniżelibym miał rękę na pana podnieść. I pana i moje życie zmarnowane; lecz cierpienie pana już minęło, moje trwa i trwać będzie do śmierci. Albowiem życie mi jest klątwą, i wolę się go pozbyć".

Po tych słowach dozorca, bardzo blady, lecz niezachwiany, wydobył z biurka nabity rewolwer i położył go przed skazańcem.

„Oto nadeszła sposobność", rzekł spokojnie; „nikt nie może panu przeszkodzić".

Skazaniec dyszał ciężko; przed bronią wzdrygnął się jak przed żmiją.

„Nie jeszcze — nie jeszcze", szepnął jakby w agonii.

Obaj mężczyźni siedzieli i spoglądali na się wzajem, i żaden mięsień im nie zadrgał.

„Czy się pan boi"? zapytał dozorca.

Przelotne światełko zabłysło w oczach skazańca.

„Nie"; wykrztusił z trudem; „pan wie, że nie. Lecz nie mogę — nie jeszcze, — nie teraz jeszcze".

Skazaniec, którego upiorna bladość, szkliste oczy i błyszczące zęby były jakby maską śmiertelną, uniósł się z trudem.

„Nareszcie pan tego dokonał! skruszył mnie pan. Człowiecze słowo dokonało, czego ani lochy, ani bicz dokonać nie mogły... Znowu się teraz coś we mnie kurczy... Mógłbym się stać pańskim niewolnikiem za to człowiecze słowo". Łzy potoczyły mu się z oczu. „Muszę płakać, widzę, że jestem dzieckiem — a myślałem, że jestem mężem".

Zachwiał się, a dozorca chwycił go i usadził na krześle. Ujął go za rękę i poczuł silny, szczery uścisk. Oczy skazańca zakołowały nieprzytomnie. Skurcz bolesny przynaglił go do podniesienia wolnej ręki do piersi; cieńkie, wychudłe palce, zniekształcone długiem zmaganiem się ze szczeliną w drzwiach komórki — czepiały się bezwolnie koszuli. Słaby, twardy uśmiech pomarszczył mu wynędzniałą twarz, odkrywając jeszcze bardziej błyszczące zęby.

„To człowiecze słowo“, szepnął — gdyby je pan był wyrzekł dawniej, — gdyby — lecz — lecz już wszystko dobrze — teraz. Pójdę — pójdę do roboty — jutro“.

Dozorca poczuł silniejszy uścisk. Lecz wnet uścisk ten ustał zupełnie. Palce, szarpiące koszulę, opadły, a ręka zawisła u boku. Znużona głowa przechyliła się w tył i spoczęła na poręczy; dziwny twardy uśmiech ciągle jeszcze trwał na marmurowem obliczu, a nieżywego człowieka szkliste oczy i błyszczące zęby spoglądały w sufit.

† LAODAMIA.

(PROTESILAS I LAODAMIA. TRAGEDYA STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO).

Laodamia, to istota niezdolna niczego, coby było niewłaściwe, obce namiętności, obce jej samej, coby nie było w związku z namiętnością. Stosunek jej do świata skutkiem tego zerwał się zupełnie — nie ma żadnego pokrewieństwa między pojęciami ludzi a jej własnemi. Laodamia jest istotą wolną. Cokolwiek uczyni lub pomyśli, obraca się w zakresie jedynej namiętności. Bezwiednie — czyni, co właściwe. Jedynem zajęciem godnem namiętności jest Nuda. Laodamia, opuszczona przez męża — kochanka, nudzi się, czeka i płonie o zmierzchu. Nic nie zdoła przegiąć w sposób nieodpowiedni, ani wychylić z jedynej drogi nieskalanej linii. Dla takich istot nie ma ucieczki, niema pociechy żadnej: albowiem nic nie istnieje, albo jest tylko cieniem i podobizną namiętności. Co dzieje się w okół na świecie, służy. Aojdes opowiada jej sprawy obecne, rzeczywiste — chociaż dla niego są dawno, minione. Laodamia zdumiona jest nie śmiałością Aojdesa, który próżności zaufał, ile raczej tem, że ten człowiek wogóle istnieje. (Istnieje też przez krótką chwilę, — wcale — ile trzeba, żeby „ochłonąć ze wstrętu“). Spojrzenie, jakiem go obrzuca, jest spojrzeniem istoty wolnej, — nie dotkniętej, — która przeszkodę wszelką kruszy bez wysiłku. Wszystko, co ją otacza, — dom, służba, marzenia, sny — jest w związku z namiętnością, przeciw której, temu prawu boskiemu, nie wolno nic uczynić, jak Antygonie nie wolno poddać się prawom ludzkim, bo te sprzeciwiają się prawom boskim. Antygony postępek płynie z obowiązku, z zewnątrz, Laodamia czyni wszystko z siebie, z konieczności, z taktu, który jest obowiązkiem duszy pełnej.

Dla takich istot wspomnień niema wcale, tej pociechy ludzi sentymentalnych. Są tylko rzeczywistości. Nic nie było, wszystko jest ciągle, wiecznie. Protesilas teraz ją kocha, teraz ją opuszcza i teraz ginie — ona zaś teraz żyje i razem umiera. Nic nie ulega zmianie żadnej: zmienność jest cechą istot wątłych i „skomplikowanych“, w których namiętność ogarnia drobną cząstkę, w których namiętności niema wcale. Nie zaś istot całych, twardych i mocnych. Dla tamtych rozrywki, pocieszenia. Istoty jak Laodamia mogą tylko się nudzić i czekać, być całym światem. Świat się nudzi i czeka. Niema przeszłości, ani przyszłości — ton jest niezmienny przez ciąg wieków — namiętność. Laodamia jest Na-

miętnością samą. Namiętność jest niema i wyraża się aktem stanowczym, swojem jestestwem. Śmierć! Co czynić, jeśli nie umrzeć. Lecz śmierć u takich istot wszak nie jest uczynkiem żadnym, nie zmienia niczego, nie przerywa linii nieskalanej i twardej. Nie jest aktem stanowczym, bo tym jest życie — i niema między jednem a drugiem różnicy. Oto istota, która śmierć sobie zadaje, lecz śmierć traci tu swoje znaczenie. Albowiem i śmierć nie istnieje. Jestto sprawa, która rozumie się sama przez się. Sprawa naturalna, pogodna i radosna. O sprawy, które „rozumieją się same przez się“ bardzo trudno (wszystko co czyni Laodamia, rozumie się samo przez się), chociaż z nazwania są tak pospolite. Są poza widnokręgiem; ilekroć się zjawią, wprawiają umysły ludzkie w zdumienie. Sprawy, które rozumieją się same przez się, są dziwaczne.

Lecz... Laodamia jest ludzka

„Los ze mną igra,
Sen i Czar,
i mną się ludzką bawi.

Ekstaza zmysłom nie wystarcza, które nie chcą samotności.

„Żądze próżno toną
samotno“.

Bogowie nie chcą, aby ludzie byli ludźmi, namiętności nie chcą być żądzą, która ręce wyciąga po rozkosz. Eros chce pochłonąć całego człowieka. To jego namiętność — nierozsądna, jak wszystkie namiętności! Laodamia jest ludzka i chce rzeczywistości. W namiętności wszystko jest urzeczywistnione. Laodamia chce urzeczywistnić sprawy, które już się stały. Jak Edyp boi się i unika spraw przyszłych, które już się stały. Bogowie, istoty wolne, niczego nie szukają, niczego nie unikają.

Lecz... Laodamia jest ludzka, więc ulega pomyłce. Tragedya wynika.. z błędu logicznego. Bogowie, istoty logiczne, wówczas uśmiechają się. Uśmiech ich ani radosny nie jest ani smutny. Jest boski. Taki, który pisze tragedye.

St. Lack.

Z WYSTAWY TOW. PRZYJ. SZTUK PIĘKNYCH.

VELASQUEZ—CHEŁMOŃSKI—MALCZEWSKI.

Mówić o Velasquez'ie, jest to mówić, jeżeli nie o całej sztuce XIX w. to w każdym razie o jednym z prądów, jakie się w tym okresie nawzajem ścierały, walczyły o pierwszeństwo, o prawo życia. Wszystko to, co najwybitniej charakteryzuje sztukę zeszłego wieku, co wsiąknęło do historyi sztuki pod nazwą impresyonizmu i co tę sztukę wyróżnia od sztuki minionych stuleci, to wszystko miało swój początek już w Velasquez'ie. Jest to fakt, który stwierdziło wielu znawców Velasquez'a i historyków sztuki zeszłego stulecia. Utwierdził go wreszcie nietylko niezaprzeczony wpływ Velasquez'a na rozwój najwybitniejszych talentów XIX w. ale i rezultaty samodzielnych badań i wysiłków tych artystów, którym nie wystarczały teorye estetów i ideały głoszone po akademiach malarskich.

Dzieła Velasq. to jedna z najoryginalniejszych, najciekawszych kart historyi sztuki. Stanowią one jeden nierozerwalny łańcuch twórczości, w której nie spostrzegamy załamania się, ani też żadnego zboczenia z tej drogi, jaką jej nakreślił rodzaj talentu Velasquez'a.

Jasne pojmowanie swego celu, świadomość sił i środków ułatwiały mu tę idealną prostą drogę, chroniły od zboczenia, wpływu i osłabienia. Było to zacieśnienie świadome nawet atoli uwarunkowane cechami jego talentu, pozbawionego zupełnie wyobraźni. Był on malarzem p a r e x c e l l e n c e, pomiędzy którego najważniejszemi dwoma narzędziami, okiem i ręką panowała zupełna najidealniejsza zgoda. Zaleta ta postawiła go w rzędzie pierwszych malarzy świata, uczyniła go wzorem i drogowskazem dla drugich. Zaleta ta wsparta niesłychanie wyostrzonym zmysłem obserwacyjnym uchroniła go od maniery, ułatwiła mu bezbłędne wykonanie owych dzieł, nadała im niepokalany urok świeżości

i czar, jakim oddziaływają na widza. Zdolność głębokiego odczuwania typu i charakteru portretowanych osób, połączona ze wspomnianemi zaletami jego talentu. sprawiła, że postacie, które się wyłaniają z jego obrazów, przemawiają do nas z tą przekonywującą siłą życia i wyrazu, jaką nadają im chociażby już same zasadnicze różnice ich podobieństwa, zmienność i rozmaitość krzyżujących się płaszczyzn, rozchylenia i wyrazy ust i oczu, słowem, cała rozmaitość i bogactwo formy uwięzionej na płótnie. Każdy z tych obrazów streszcza w sobie wszystkie cechy jego talentu.

Jest to zaleta niezmiernie rzadka, z którą spotykamy się tylko w dziełach takich malarzy jak Leonardo, Holbein, Rembrandt.

Weźmy naprzykład jedną z najpopularniejszych, a zarazem najbardziej skończonych prac Velasquez'a, portret papieża Innocentego X. Twarz która siłą życia i wyrazu wbija się na zawsze w pamięć, chociażby się ją raz tylko widziało. Silnie osadzona głowa wyłania się z fałdów białego kołnierza i uderza widza przeszywającem spojrzeniem. Trudno ocenić wyraz tych oczu, który tak dziwnie dopowiada grymas skrzywionych ust. Siła tego wyrazu nadaje całości piętno takiego życia, tak bezwzględnej prawdy, że przy nieco dłuższem wpatrywaniu się w obraz, doznaje się zupełnego złudzenia życia, żywego człowieka. Brak miejsca nie pozwala mi przytoczyć całego szeregu uwag, spostrzeżeń i wrażeń odniesionych na widok tego obrazu przez ludzi rozmaitych epok i czasów, między którymi znajdują się nazwiska sławnych artystów estetów i filozofów.

Z reprodukcyj z dzieł Velasquez'a spoglądają ku nam strojne postacie figur, otaczających dwór królewski, od chłodnej wyniosłej postawy króla, pełnych wdzięku kobiet, wykwintnych dworaków, aż do małych figurek nadwornch karłów, które stanowiły tak nieodłączną część tego organizmu, jakim był dwór Filipa IV. Oglądając je czuliśmy, że jesteśmy w pracowni malarskiej, przestrzeni otoczonej kilkoma ścianami, do której wpada światło o jednostajnem natężeniu, bez względu na zmiany atmosferyczne. Postacie, któreśmy oglądali, były zawsze upozowane, na twarzach ich znać było, że miały przed sobą człowieka, którego obchodzą ich nos, oczy, usta i t. d.

Jeżeli teraz z kolei przejdziemy do obrazów Chełmońskiego, to pierwsze wrażenie jakiego doznamy, będzie, jak gdybyśmy się wydostali na wolny, swobodny przestwór. Następnie uderzy nas ruch i życie, zupełny brak jakiejkolwiek pozy. Przenosimy się od razu w zupełnie odmienny świat, pod szare, ołowiane niebo północy.

Z obrazów tych wyrywają się końskie kopyta, rozwichrzone łby koni, śmiga bat, w powozie rozwalają się pełne napuszonej komicznej powagi urzędowej figury oficerów rosyjskich, oddane z przedziwną charakterystyką typu. Cały obszar tego bujnego, nieokiełzanego życia, wylewa się po za ramy tych obrazów, drga w każdym ich calu. Co jednak uderza w jednym z tych obrazów, to to, że zatrzymany został na samem prawie pograniczu karykatury.

Wystarczyłoby nieco silniej podkreślić niektóre rzeczy, a obraz stałby się zupełnie innym

Tę niezwykłą zdolność Chełmońskiego przedstawiania najzmienniejszych zjawisk możnaby przyrównać do bardzo ścisłego aparatu fotograficznego, gdyby nie owo podkreślanie i wyodrębnianie pewnych części obrazu,ześrodkowywanie uwagi swojej, a w następstwie i widza na rzeczy, które w danej chwili najbardziej obchodziły malarza. Jest to pierwszym warunkiem kompozycyi i dla tego Chełmoński jest talentem twórczym. Wyobraźmy sobie scenę któregokolwiek z jego obrazów, powtórzoną za pomocą fotografii. Możemy się z góry upewnić, że nie wzbudziłaby ona u nas żadnego zaciekawienia, mimo najdokładniejszego powtórzenia całości, aż do najdrobniejszego szczegółu. Ta ostatnia okoliczność, nagromadzenie szczegółów, sprawiłaby, że to, co nas właściwie uderza w obrazie, zniknęłoby bez śladu.

W pierwszym obrazie uwaga widza zatrzymuje się li tylko na powozie, unoszącym wojskowych i woźnicę i na trójce galopujących koni. Po za tem wszystko zostało w obrazie podporządkowane, pozbawione interesu.

W drugim obrazie oko pada najpierw na przepyszną w ruchu parę koni, a następnie na szereg figur, których cała uwaga skupiona jest na tych koniach.

O obrazie tym możnaby napisać całe studyum. Z jak nadzwyczajną finezyą i poczuciem typu i charakteru narysowaną jest każda z tych figur, których postawa i gesty tak doskonale wyrażają rodzaj im właściwego zainteresowania się, ich wzajemny stosunek do siebie. W obudwu obrazach nie ma ani jednego miejsca, któreby wskazywało na pewien szomat, na jakieś, choćby słabe, znużenie pamięci. Od rozwichrzonych łbów końskich, aż do drobniutkich sylwetek psów, wszystko jest przeprowadzone z właściwą charakterystyką, z niesłabnącą energią, bez śladu powtarzania się, maniery.

Chełmoński jest wybitnym rysownikiem i posługuje się prawie wyłącznie linią. Talentem rysowniczym jest też Malczewski, który dla wyrażenia kształtu używa światłocienia. Rzeźbi więc niejako, buduje. Zajmuje go nie linia, lecz bryła przedmiotu. Malczewski nie przedstawia zjawisk zmiennych, przelotnych jak Chełmoński. Rzadko kiedy można się spotkać w jego pracach z ruchem gwałtownym, przelotnym.

Sytuacye w jego obrazach są zazwyczaj spokojne i umożliwiają przestudyowanie obrazu aż do najdrobniejszych szczegółów. Od szerokich płaszczyzn pierwszego planu, aż do ledwo dostrzegalnych, których budowę dostrzega się w naturze dopiero po pewnem wpatrzeniu się, wszystko jest opracowane z tą samą zaciekłością, chęcią opracowania formy nawet tam, gdzie się ją już ledwo dostrzega.

Sytuacye w obrazach Malczewskiego nie są czerpane wprost z natury. Powstają one w umyśle malarza; wykonanie ich zdąża do tego, aby były jak najzgodniejsze z prawdą. Obraz, który się znajduje na wystawie Tow P. S P. jest jedną z dawniejszych prac Malczewskiego. Przedstawia on narodzenie Dzieciątka Jezus. Komponowanie na tematy znane, ogólne, jest dziś bardzo utrudnione przez to, że człowiek, który się do tego zabiera, ma już w pamięci reminiscencye z całego mnóstwa gotowych już obrazów, poruszających ten temat, co niezmiernie utrudnia pracę. Oczywista, że najważniejszą rzeczą jest, aby obraz był ciekawie skompowanym, oryginalnie pomyślanym. Jeżeli się to malarzowi uda, to już to samo należy mu poczytać za wielką zasługę.

Malczewski pojął ten temat jak najprościej. Usunął z obrazu tradycyę uświęconych rodziców, św. Józefa z Matką B., zgromadził zaś koło Dziecka szereg figur, które mu się najczęściej przesuwały przed oczyma. Więc chłopów, pasterzy, druciarza, przekupnia, górala i t. d. Każdej z tych figur dał ruch i wyraz taki, jaki byłby jej najwłaściwszym w danej sytuacyi, któryby najbardziej odpowiadał jej charakterowi, zajęciu. Z bardzo trudnego zadania wywiązał się więc zupełnie.

Zalety obrazu są przeważnie rysunkowe. Z kolorem gorzej. Całość jednak robi wrażenie zupełnej prawdy.

W. M.